№ 3. Warszawa, dnia 4 (16) Stycznia 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

ZABYTKI POEZYI BULGARSKIEJ.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Car nie skończył mowy jeszcze,
Wskroś go zimne zbiegły dreszcze,
Na wznak martwe padło ciało,
Słowo w ustach skamieniało.
A król Reno płacze długo,
I ostatnią czci posługą.
I młodziuchna krasawica,
Łzami białe zmywa lica,
Pogrzebali ojca godnie,
W łzach dni biegną i tygodnie.
Wtem na koniu lotem strzały,
Tatarzątko wjeżdża w wrota,
Trzyma w ręku listek biały;
Na liściku pismo czarne,
Ej! pogróżki w nim nie marne:
Car Turecki klątwy miota,
Króla Reno szarpie sławę,
I wyzywa w pole krwawe.
„Czemu, pyta, królu młody,
Trunogrodu zwiesz się panem?
Car wasz ojciec zdał mi grody,
On mnie swoim zwał sułtanem!
Skoro przyznał cię za syna,
U stóp moich uderz głową.
Król rozważa każde słowo,
Jak zaradzić on sam nie wie,
Pędzi co tchu w strasznym gniewie,
Do starego Bilaryna.
Ale pusto w Dury progu,
Zbiegł do nieba gwiaździarz stary,
Jemu nie rżnąć już ofiary,
Ani pieśnie słać ku Bogu,
Jego ziemia poturczona.

Junak Reno w ciężkim bólu,
Oniemiały stoi chwilę,
Pierś junacza krwi spragniona.
Wtem zobaczył Samowilę.
Czarodziejka zbieży z góry,
Słodko rzecze: „ej ty, królu!
Czemu siedzisz w progach Dury,
Tam w seraju twa jedyna,
W kolebeczce niańczy syna:
Idź, uściśnij twe dzieciątko.”

—„Oj ty Judo, zorzo miła,
Kiedy byłem w mym seraju,
Przyjechało tatarzątko,
Sułtan z listem je przysyła.
On się mieni panem kraju,
Chmarę ludu wiedzie zbrojną,
On mi krwawą grozi wojną!
Co tchu pędzę w próg świątyni,
Chcę gwiazdziarza wezwać rady,
Jego mądrość cuda czyni,
Wkoło gońce ślę na zwiady,
Stary gwiaździarz zbiegł do lasu!”

—„Próżno czekać, szkoda czasu,
Stumanili królu ciebie,
Twój Bilaryn gości w niebie.
Bóg słać ofiar nie pozwoli,
Ku niebiosom z ziemi łona,
Bo ta ziemia poturczona,
Bo lud jęczy twój w niewoli;
Kraj zalały krwi powodzie,
Łuny świecą w krąg po kraju,
Siędzie sułtan w Trunogrodzie,
Na twym tronie, w twym seraju!”

Król to słyszy, włosy targa,
Z ust żałosna zbiega skarga,
Drgnęło serce Samowili:
—„Czekaj, rzecze złotowłosa,
Ja polecę na niebiosa,
Gdy bóg Suro się przychyli,
Wtedy złote dam ci skrzydła,
Tobie ubiedz tam w obłoki!
Skoro Turków ćma przebrzydła,
Twój zagarnie kraj szeroki,

Tam Bilaryn czeka stary,
Służy Bogu pełen wiary,
Aż się dola kraju zmieni!"

Juda w skrzydła zafurkocze,
Po błękitnej mknie przestrzeni,
Z wiatrem płyną jej warkocze,
Już przed Bogiem w niebie stoi.

—„Boże! — woła — Suro Boże!
Tyś miłościw na twą zorzę,
Mów, skreślonoż w księdze twojej
By władł sułtan Trunogrodem?
I odzierżył ziemię całą?
Toż w królewskiem stadle młodem,
Tyś poczczony jak przystało!
Zkąd-że, panie, wyrok taki?
Maż ten junak nad junaki,
Poddać głowę pod miecz Turka?
Maż ta carów naszych córka,
Tureckiemi dzwonić pęty?
Maż to biedne ich pacholę,
Krwi królewskiej szczątek święty,
Z młodu dźwigać srom na czole?"

Gdy tak mówi Juda żywa,
Złagodniały lica boże,
Na swą miłą patrzy zorzę,
I tak do niej się odzywa:

—„Król mi Junak służbę czyni,
Siła objat rznął w świątyni,
Choć mu wichry w oczy wieją,
One ziemie nie sturczeją,
Głowa z karku mu nie zleci,
Nie zaszczęknie w pęta żona,
I nie będzie już zmuszona,
Muzułmańskie niańczyć dzieci.

„Idź do słońca, Judo zorzo,
Gdy podwoje ci otworzą,
Złotą Majkę uczcij słowy,
Zleć los króla i królowej.
Ona przyjmie hołdy twoje,
Złotych skrzydeł da ci dwoje,
Ty ku ziemi spuść się z góry,
Tam król czeka w progu Dury,
Niechże wraca do seraju;
A gdy Turków ćma obrzydła,
Zapanuje u Dunaju,
Gdy wytrysną krwi potoki,
Niech król złote przypnie skrzydła,
Weźmie żonę i pacholę,
I uleci pod obłoki.
Tu Bilaryn czeka stary,
Niech składają mi ofiary
Nim nadejdzie lepsza chwila!"

Hyżo leci Samowila,
U słonecznych staje progów.

—„Złota Majko, matko bogów,
Co w słonecznem mieszkasz niebie,
Pomnij dzionek twego święta,
Nikt nie uczcił matko ciebie;
Senny pomrok padł na ludzi,
Sam król Reno z snu się budzi,
On o święcie twem pamięta,
Rznie objaty, służby czyni,
Jego pieśni brzmią w świątyni,
Srogi sułtan, skarz go, Boże,
Ze Stambułu zbrojno kroczy,
Króla Reno wnet przemoże,
Gdy mu błyśnie szablą w oczy.
Będzie panem ziemi całej,
Tak wyroki zapisały;
Lecz gdy wielkie wyrzekł słowo:
Nad królewską Rena głową,
Nie zacięży miecz Turczyna,
Król u Boga w wielkim mirze,
Jemu nie zgiąć bark w jasyrze.
Złota Majko, ty jedyna,
Daj mi lotne skrzydła twoje,
Król tam czeka w progu Dury,
Gdy go krwawe zmogą boje,
Niech uleci po nad chmury,
Z pacholęciem, z miłą żoną,
W niebie tylko im otucha!"

Złota Majka pilnie słucha,
Słucha z duszą rozżaloną,
Cała drżąca głowę schyli,
Łza przeczysta z ocz mu spada,
I w dłoń Judy Samowili,
Dwoje skrzydeł w darze składa.

Juda szlaki powietrznemi,
Hyżo z nieba mknie do ziemi,
Przed junakiem ścicha stanie,
Głos jej w piersi dławi łkanie:

—„Weź te skrzydła, królu młody,
W twym seraju czekaj wroga,
Gdy ci Turczyn wydrze grody,
W one skrzydła uderz złote,
Leć junaku, leć do Boga,
W niebie ukój twą sromotę!"

Król powraca do seraju,
Straszny popłoch w Trunogrodzie,
Wróg się rozsiadł w cudzym kraju,
Pławi konie w cudzej wodzie;
Znów Tatarczuk niesie mały,
Z czarnem pismem listek biały.
Szpetne chłopię kłótni szuka,
Porwał junak Tatarczuka,
Do głębokiej pchnął pieczary.
Sułtan czeka, czeka długo,
Zbiera wojska wielkie chmary;
Jesień wietrzną dmie szarugą,
Po jesieni twarda zima,
Śniegiem bieli góry, lasy,
Turek w mocy grody trzyma,
Na kraj straszne przyszły czasy,
Pod naciskiem ludy jęczą,
Popłoch wielki w Trunogrodzie,
Wróg go twardą skuł obręczą;
Ciężko walczyć w chłodzie, w głodzie,
Bram seraju wróg dopada,
Królu Reno, biada! biada!
Pod taranem mury trzeszczą,
Wkoło okrzyk brzmi złowieszczo,
Próżny mozół, próżne boje,
Rąk zabrakło do obrony.
Junak podjął skrzydeł dwoje,
Do bark silnie je przypina,
Schwycił żonę w pół ramiony,
Jedynaka objął syna,
Do świętego leci gaju.
Wtem warowne pękły wrota,
Sułtan wkracza w próg seraju,
Szuka, wrzeszczy, klątwy miota,
W górę podniósł miecz swój krzywy,
Pot mu strugą z czoła tryska:
Nigdzie, nigdzie duszy żywej,
I tron pusty i kołyska!

„Gdzieś ty, królu? nad twą głową,
Miecz proroka wnet zaświeci,
Gdzieżeś piękna ty królowo?
Chodź tureckie niańczyć dzieci!"

Przez trzy doby krzyczy, woła,
Dom królewski zbiegł dokoła:
W domu pusto jakby w grobie,
Król z królową znikł bez wieści,
Aż tu rankiem w czwartej dobie,
Coś w powietrzu zaszeleści.
Sułtan oczy wzniósł do góry,
Widzi króla, w ranną ciszę,
Niby sokół złotopióry,
Na obłoku się kołysze.

—„Próżno szukasz mnie w seraju,
Król wyrzecze dźwięcznym głosem,
Bądź sułtanem w moim kraju,
Nadaremno walczyć z losem;
Lecz nie zetniesz mojej głowy,
Nie zneważysz mej królowej;
Ta dziecinka złotowłosa,
Nie popadnie w paszczę smoczą,
Tobie czołem nie uderzy!"

Złote skrzydła zafurkoczą,
Reno leci pod niebiosa,
W podsłonecznym buja świecie;
Samowila doń przybieży,
Z rąk podejmie drobne dziecię,
Idzie naprzód, het wysoko,
Gdzie Bilaryn czeka stary,
Gdzie nie sięgnie ludzkie oko,
Nie dolecą ludzkie gwary,
Chyba czasem pieśń od ziemi,
Wzleci skrzydły gołębiemi!

KONIEC.

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

III.

Burza tymczasem nie ustawała. Wicher wył i piszczał po całym dworze, a w kominie zawodził takie łzawe żale, jakby sama przyroda płakała nad niedolą ludzką... W poważnem milczeniu, panującem w izbie po wieści zakonnika, że Szwed idzie na klasztor Częstochowski, słychać było, jak syczy śnieg, porywany przez wiatr i jak się miota o okna i ściany.

— Ja — mówił ksiądz — jadę z tą wieścią do ojca Augustyna na Jasną Górę, a chociem razem prawie z Wielunia wyjechał ze Szwedami, przecież wyprzedziłem ich znacznie. Burza zerwała się zaraz po południu i utknęli oni zapewnie koło Działoszyna, bo na Działoszyn idą i gdybym w Załęczach u pani starościny Grzybowskiej nie był się zatrzymał na obiadek, bo jeść mi się szpetnie chciało, tobym był już w Dankowie teraz... a tak pobłądziłem...

Napił się znów wina, a Lniski, zbliżywszy się do niego, spytał swym grobowym głosem:

— To ta pani starościna jest Szwedką?

— A Szwedką.

— I jakże ksiądz mogłeś, jadąc w tak ważnej misyi, wstępować do Szwedki?

— Ej! taka to tam ona i Szwedka!... Pani starościna już dawno jest między nami. Słyszę, że przyjechała do Warszawy we Fraucymerze królowej, kiedy to jeszcze król Władysław się żenił.

— Czy ona nie jest Guldenstern de domo?

— Tak — wtrącił Żwan — i obecnie nam panujący król Kazimierz chciał się z nią wtedy żenić.

— To ta sama! — mruknął Lniski — aleć to już musi być stara baba?

— Stara! co też waść gadasz — zawołał ksiądz Jacek. — Jużcić nie pierwszej młodości, ale jeszcze bardzo piękna kobieta, jak wszyscy gadają, bo ja się tam na tem jako zakonnik nie znam. He! he! he! — zaśmiał się. — No! — dodał wstając — gdzie ja będę spał?... Przenocuję i jutro świtaniem jadę dalej.

— Czekajno księże! — odezwał się na to, nie ruszając się z miejsca Żwan i nie odrywając rąk od twarzy — jeszcześ nam nie powiedział, jakie nieszczęście spotkało pana kasztelana Warszyckiego?...

— A prawda! patrzajcież, zapomniałem z kretesem! Ale ja ci to zaraz opowiem. Oto niejaki Horn, generał szwedzki, co siedzi w Krzepicach i na Danków pana Warszyckiego ostrzy zęby, wczoraj wieczorem zrobił ku Dankowu podjazd i napotkał na drodze córkę pana kasztelana...

— I co? — porwał się Żwan.

— Ano i cóż! wziął ją do niewoli i powiada, że póty nie odda córki kasztelanowi, póki ten mu nie da Dankowa!

— Hej! do stu piorunów! — huknął Żwan — dość już z tymi Szwedami. Dam ja temu psubratu Danków! Pasy zeń drzeć będę! Porwał pannę Warszycką! Ja mu ślepie wypalić każę żelazem! Hej! Samuelu na koń! Zwołam chłopów i z kłonicami pójdę na tego Horna przybłędę!... Dalej, do broni!

I jak gdyby oszalał, pobiegł w kąt izby i drżącemi rękami, czerwony jak alkiermes przypasywał szablę do boku. Trząsł się cały i latał po komnacie, wywłócząc z kątów tu misiurkę, tu jakąś zardzewiałą kolczugę, tam żelazne karwasze i wszystko to w gorączce jakiejś, klnąc szkaradnie, ciskał z brzękiem i wrzawą na ziemię. Co chwila krzyczał strasznym głosem:

— Piotrze! Piotrze! gdzie ten stary nicpoń się zapodział!... Piotrze! Piotrze!... — lub zwracał się do Lniskiego i gadał gniewnie:

— Czemu się nie zbroisz? na co czekasz?

Ale Lniski nie ruszał się z miejsca... Maleńkie swoje czarne oczka wlepił w rozgorączkowanego Żwana i patrzał tak, patrzał, ruszając wąsami, a jego poważna, surowa, zawiędła od wichrów i dymu bojowego twarz, nosiła wyraz widocznego obrzydzenia i pogardy.

Kiedy nakoniec Żwan, przypasawszy szablę do boku, jeszcze raz pana Samuela zapytał się ostrym, ognistym tonem:

— Czemu, u stu dyabłów się nie zbroisz? — to ten odrzekł, zwracając się na pół do mnicha, który siedział na zydlu z ustami szeroko otwartemi i patrzał jakby na teatrum jakie:

— Widzisz, księże, jakeśmy to na psy zeszli. To naród niewolników i skoczków a nie rycerzy! Kiedym tu przyjechał i mówił oto temu szlachcicowi — tu pan Samuel wyciągnął swą suchą, kościstą rękę i wskazał na Żwana — że kędym stąpnął to krew, wylana przez najeźdcę, tryskała, że cała ta ziemia krwią i żelazem jest niszczona, ze trupom wilcy jeno i krucy pogrzeb sprawiają, żem ja stał się grabarzem tych trupów, że nie ma już Polski i Rzeczypospolitej, nie ma tronu i króla i złotej wolności szlacheckiej, nic nie ma... kiedym mu to gadał, to on łaził tu po tej izbie, jakbym mu bajki prawił, albo li też ciekawe historye, o jakim murzyńskim a nie naszym kraju. Ale kiedyś ty księże powiedział mu o jakiejś dziewce, którą Szwed porwał, to widzisz jako szaleje, jako miecz przypasuje i woła wielkim głosem, bym z nim szedł przelewać krew moją za wolność tej dziewki, kiedym nie mógł przelać mej krwi za wolność ojczyzny! Takim jest cały ten naród polski!

To rzekłszy, pan Samuel w wielkim i niepohamowanym gniewie cisnął zydlem, który dzierżył za poręcz, o ziemię i zawołał:

— Bodaj was siarczyste pioruny biły! — siadł przed ogniem i twarz zakrył rękami.

Słowa te wywarły silne wrażenie na Żwanie. Stanął blady na środku izby a wargi mu się trzęsły jak w febrze i takie jakieś płomienie migotały mu w oczach i miał taką postawę, jakby się chciał rzucić na pana Samuela i zdusić go własnemi rękami. Ksiądz mruczał coś niezrozumiale pod nosem, oglądał się dokoła i widocznie radby był ztąd jak najprędzej uciec, od tych dwóch dziwnych szlachciców, widocznie w jego rozumieniu szalonych. Przez chwilę zapanowało głuche w izbie milczenie, tylko ksiądz sapał, a wicher na dworze wył tęskliwie. Nakoniec pan Samuel pierwszy przerwał milczenie. Odjął ręce od twarzy, podniósł głowę i zwracając się do księdza, rzekł spokojnym, ponurym głosem:

— Zkąd wiesz, księże, że Szwed porwał dziewkę kasztelana Warszyckiego?

— Zkąd wiem? — żwawo zapytał ksiądz — czekajno, zkąd ja o tem wiem! Aha! opowiadała mi pani starościna Grzybowska, Szwedka, jak ją waść nazywasz... O! nawet ci powiem, że dziś rano przysyłał do niej umyślnego pan Warszycki z pismem, by wzięła jego nieszczęście do serca i jako Szwedka rodem, starała się od tego psubrata Horna wydobyć kasztelankę. Jakoż miała do Krzepic jechać zaraz po południu, ale czy pojechała nie wiem.

Tu ksiądz odetchnął ciężko, wytarł nos głośno, nalał sobie wina i wypił, poczem dodał:

— Moi mości panowie, dziś już nic nie zrobicie i dzień jest zawsze najlepszym doradcą. Jam oto znużony i spać chcę. Idźmy spać, a jutro będziemy radzili. Oto co jest.

— Ignac — rzekł p. Samuel do Żwana, ciągle stojącego na środku izby — zaprowadź księdza do jego komnaty i wróć tu do mnie; naradzimy się.

I jak gdyby go już nic a nic nie obchodziło, odwrócił się twarzą do ognia, podparł głowę na ręce i zapatrzył się w purpurowe płomyki: liżące spopieloną już do połowy kłodę drzewa. Nie uważał na pożegnanie księdza, na nic, jeno patrzał w ten ogień, a dusza jego widocznie gdzieindziej błądziła. Żwan z księdzem wyszedł i w izbie ponure osiadło milczenie. Wicher i trzask burzy z zewnątrz dochodził, dźwięczały maleńkie szybki w oknach i świat zdawał się szaleć w tej posępnej listopadowej nocy. Pan Samuel na to wszystko nie zważał. Siedział nieruchomy na zydlu jakby skamieniał. W tej ciszy świerszcz, złudzony spokojem, wylazł z pod komina i głośno ćwierkał. Ze wsi, ze dworu, od czasu do czasu wiatr przynosił przeciągłe naszczekiwania psów i nic, tylko świst wichru, łomot jakiś straszny w przestrzeniach.

Nakoniec zjawił się Żwan, wciąż przy mieczu i w opończy teraz zarzuconej na ramiona i w czapce z czaplem piórem.

— Czego chcesz ode mnie, Samuś? — zapytał zaraz z progu głosem łagodnym — nagadałeś mi tu przy tym mnichu takich rzeczy, że gdyby to kto inny mi powiedział i nie w moim domu, dawnobym go już był wyzwał na rękę. Mówże co chcesz, bo ja czasu nie mam, ja lecę pod Krzepice...

— A z kimże ty tam lecisz?

— Choćby sam!... Lecę z Piotrem i z kilku chłopami ze wsi...

— Przecie Krzepice, to forteca, człowieku...

— Choćby przyszło łbem mur rozbić, to rozbiję — prawił w widocznej desperacyi Żwan.

— Miejże rozum, mój Ignac — ozwał się na to wszystko pan Samuel. — Pocóż ty teraz pod Krzepice polecisz?... Najprzód nie wiesz, co się stało i czy czasem owa Szwedka, starościna, nie wydobyła już panny z rąk komendanta Krzepickiego i czy kasztelanka nie siedzi sobie spokojnie u ojca w Dankowie, podczas, gdy ty będziesz łeb rozbijał o mury Krzepic, dyabeł wie po co i na co.

Żwan chwycił się oburącz za głowę i biegając po izbie wołał:

— A, Kostusiu! Kostusiu! bodaj cię kat spalił!...

— Cóż-to znowu za Kostusia? — zapytał pan Samuel — co ty tam prawisz, mój Ignac? Nie szalejże, proszę ja ciebie. Czy to panna Warszycka zwie się Kostusia?

— Ale zkądże znowu! — oburzył się Żwan.

— No, więc cóż-to za Kostusia?

— Ale bo ty nic nie wiesz!

— Oczywiście, że nie wiem. Chcąc ci dopomódz, a powiadam, że ci chcę szczerze dopomódz, muszę wszystko wiedzieć dokładnie. Oto siądź tu przy mnie przy ogniu i gadaj. Ja będę słuchał, a potem naradzimy się, co czynić należy w tak niecnotliwym momencie...

— Co tu radzić! — krzyknął na to Żwan — ja na to czasu nie mam. Lecę pod Krzepice...

— Oszalałeś czy co! — zawołał z gniewem pan Samuel, wstając z krzesła — pod Krzepice poleci z gołemi rękami! Słyszysz, jaka burza! Do Krzepic ztąd będzie dobre dwie mile po wertepach i w taki psi czas! Jeżeli kasztelanka tam jeszcze jest, to nietylko że jej nic nie dopomożesz, ale owszem zaszkodzisz. Pstro we łbie u ciebie, mój Żwanie... Z czemże ty tam pójdziesz, z Piotrem, który ledwie łazi i z kilku chłopami! Szablą i kłonicą chce brać fortece. Jak Boga kocham, ta szlachta polska z kretesem zgłupiała!

— Ale co ona sobie pomyśli, że ja jej nie spieszę na pomoc! — zawołał Żwan, załamując ręce.

— Kto, kasztelanka? Mój kochany, najprzód jeżeli kto jej może dopomódz, to ojciec, który ma wojsko, pan jest możny. A jeżeli on posłał do tej Szwedki, by drogą pokojową wydobyła córkę z rąk Horna, to pokazuje się, że nie tak łatwo brać Krzepice mocą. I to jest pewne. Ja widziałem ten zamek. Forteca to nielada, na bagnach i błotach... Bierzże go kłonicą! Oszalałeś mój Ignac. Zaraz pójdziesz! choćbyś nawet miał moc po temu, to byś nie szedł, bo jakże można trudzić ludzi i krew lać nie wiedząc, czy to jest potrzebne. Powtarzam ci, kasztelanka może już jest w Dankowie. A przytem idąc w taki psi czas, po nocy, zmęczyłbyś ludzi i nicbyś nie zrobił. Miejże rozum, proszę ja ciebie.

— Żeby ta Kostusia, szelma baba, była tutaj! — zawołał znowu Żwan, podchodząc do okna i patrząc w nie, jakby chciał przebić wzrokiem nieprzejrzane ciemności nocy.

— Cóż to za Kostusia!

— Ej... to pewna baba!.. sprytna bardzo... Ona jest naszym posłem...

— Czyim posłem?

— Ano, nie rozumiesz czy co? wszystko ci trzeba łopatą kłaść w głowę, mój Samuś! Posłem jest między mną a kasztelanką.

— Aha! Więc to tak? kasztelanka! a cóż jej ojciec na to, pan Warszycki, pierwszy senator tej Rzeczypospolitej?

— A cóż on ma mieć? nic... on przecie o tem nie wie — odrzekł Żwan z wyraźną niechęcią, odpowiadając na tę indagacyą.

— Mój Ignac, wszystko mi się to dziwnem, bardzo dziwnem wydaje — rzekł po krótkim namyśle Lniski. — Ty Żwan, prosty szlachcic rozmiłowałeś się w córce senatorskiej, jakże to być może! i jeszcze ci fantazya przychodzi, jedyną swoją chudobę darowywać temu senatorowi. No, jestże to sens w tem wszystkiem? Czy Warszycki wie o tem, że ty kochasz jego córkę?

— A jakże nie! przecie mu się oświadczyłem.

— I cóż?

— A nic, powiedział mi, że jego córka nie dla mnie.

— Ano... jakże on miał odpowiedzieć, inaczej przecież nie mógł odpowiedzieć. Ale to już z tem wszystkiem mniejsza i ja tam o twoich amorach gadać nie chcę. Jeżelim się pytał ciebie o to wszystko, to jeno gwoli tego, żeby wiedzieć czego się trzymać. Mnie bo idzie o Szwedów. Chcesz ich bić? dobrze, jestem na twe usługi, chociaż powód, dla którego wojnę wypowiadasz tym najezdnikom, jest cale nie taki, jaki być powinien.

— Ale, mój Samusiu — przerwał Żwan — mnie już wszystko obrzydło na świecie i w ostatniej jestem desperacyi.

— Ha! to jest głupio, powiem ja tobie. Człowiek nigdy nie powinien desperować, ani też rozpaczać. Otóż zrobimy sojusz, żeby bić Swedów, a najprzód tego rabusia, co siedzi w Krzepicach. We dwóch jednak nic mu nie zrobimy, tu trzeba przecie jakiej takiej mocy, choć z paruset ludzi. Zkąd ich brać?

— Zwołam chłopów!

— Chłopów! nie na wiele się to przyda. Zawszeć chłop jest chłopem i nie ma w sobie ani krzty rycerskiego animuszu. Ale dobre i to. Zkądże jednak weźmiesz tych chłopów?

— Ano ztąd... ze wsi...

— Iluż ich będzie?

— Ha! z parobkami, z moim hajdukiem, z Piotrem, piętnastu...

— Iii... — machnął ręką Lniski — cóż tu z tem robić?... Trzeba więcej, mój Ignac, więcej koniecznie!

— Ja już więcej z nikąd nie wezmę.

— Czekajno, a gdyby tak zwołać chłopów z Parzymiechów, hę! — poruszył się żwawo Lniski — tam przecie liczna jest gromada, wieś dostatnia, parobków kupa. Cóż, żeś Parzymiechy podarował? Co taki podarunek znaczy, skoro go nie przyjęli. Parzymiechy zawsze twoje. I powiem tobie, że głupio, bardzobyś głupio zrobił, gdybyś występując na taką imprezę ciężką i niebezpieczną, jaką jest wojna ze Szwedem, który całą Polskę za łeb trzyma, gdybyś nie zebrał wszystkich sił jakie zebrać możesz.

— To się rozumie, żeby było głupio! — odrzekł Żwan, słuchając pilnie Lniskiego.

— Iluż można mieć chłopów z Parzymiechów?

— Hm! czy ja wiem?... ale zbierze się ze czterdziestu, może pięćdziesięciu.

— O! widzisz, to już jest coś. Mając jakie sześćdziesiąt chłopa i Warszyckiego za plecami i Jasnogórski klasztor, który jest nielada fortecą, można już próbować szczęścia...

— Co? Warszycki! ten nam przecie nie pomoże!

— Ale co ty mi gadasz!... — oburzył się Lniski — kiedy cały kraj się poddał, jeden Warszycki się nie poddał, choć mu zamek w Pilicy zburzyli Szwedy z kretesem i bogactw na miliony tam nabrało jakieś niemieckie książątko. Widziałem Pilicę... powiadam tobie, kamień na kamieniu nie został. a przecież Warszycki w Dankowie się nie poddał i nie podda się, powiadam tobie. Znam ja go, nie dzisiejszy to mąż...

— To pewna, że się nie podda.

— A widzisz! — mówił dalej Lniski wielce ożywiony. Z krzesła wstał i chodząc ciężko wyprostowany, jakby cały był z drzewa wyrzezany, prawił dalej:

— Mamy więc z jednej strony Danków, z drugiej Jasnogórę, która także łacno się nie zda. Znam ja tamtejszego przeora, ojca Augustyna Kordeckiego. Mąż to takiej samej porody jak i Warszycki. A zresztą, czy się Jasnogóra zda czy nie zda, toć zawsze zatrzyma onego Millera z parę niedziel, a nam tegotylko trzeba. Ogłosimy uniwersały, powołamy szlachtę... Ale, ale, nie liczyszże ty tu nic na szlachtę?

— Iii... na kogoż tu liczyć? Możniejsi siedzą w Dankowie, albo w Częstochowie. Jest tu kilku młodych, co chętnie z nami pójdą... Koszarski, Niezabitowski, może Bogdański...

— Trzeba ich wezwać, dobre dwie szable także coś warte. A maszże broń?

— Nie wiele. Trochę szabel, trochę strzelb, a i te ledwiem ocalił, bo Szwedy po szlachcie jeździli i odbierali broń. Wszędzie tu w okolicy odbierali, jeno do mnie nie zaszli, bo ktoby tu do Smolarzów trafił!...

— To właśnie jest dobrze. Te lasy, to nasza forteca. No, uzbroimy się, czem się da i jeżeli będzie można, nocką przyszłą pójdziemy na Krzepice. A teraz spać, bo jutro świtaniem wstać trzeba i gońców rozesłać. Jutro więc wojna, wojna krwawa, bez pardonu i bez łaski. Krwią za krew płacić będziemy, szubienicami za szubienice, ogniem za ogień!

To mówiąc, ów chudy, suchy, kościsty Lniski wyrósł na olbrzyma i podniósłszy swą ciężką rękę, zdawał się grozić całej szwedzkiej potędze. Tej jego groźbie towarzyszył nieustanny, ponury świst wichru i burzy śnieżnej, głuchy łoskot szamocącej się w sobie posępnej nocy listopadowej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z literatury zagranicznej.

Kilka słów o Maryi Wollstonecraft i niektórych jej pracach.

(Dokończenie.)

Kształcąc się sama i poznawszy na własnej osobie następstwa wykształcenia, zrozumiała dopiero, jaką drogą należy poprowadzić kobiety do zyskania praw dla nich przynależnych. Wypadało przedewszystkiem dźwignąć je moralnie za pośrednictwem nauki nie powierzchownej ale gruntownej obejmującej dział nauk ścisłych, z kierunkiem praktycznego z nich pożytku.

Pod wpływem tego przekonania wydała dzieło *Myśli o wychowaniu kobiet*, godne bliższego poznania.

Jak to już powiedzieliśmy, wiele pomysłów autorki, uważanych kiedyś przez największe powagi za niepodobne do spełnienia, znalazły dzisiaj urzeczywistnienie.

Któż bowiem odmawia obecnie kobietom prawa rozumowania i myślenia? Nie mają wprawdzie ani praw cywilnych, ani politycznych, ale coraz liczniej zaczynają czerpać wiedzę w wyższych zakładach naukowych okazując częstokroć niepospolite zdolności.

Rzeczy zatem niepodobne kiedyś stały się jak najzupełniej podobnemi, któż przeto ręczyć może, czy wyobrażenia autorki uważane do dziś dnia za niemożliwe do spełnienia, nie zostaną kiedyś urzeczywistnione i czy przyszłe pokolenia nie będą wspominać o dzisiejszych czasach, jako ulegających nader szkodliwym przesądom.

Warya Wollstonecraft prawdopodobnie porównywując umysł własny z umysłem ojca i braci, przyszła do tego przekonania, że kobieta rodząc się niższą pod względem sił fizycznych, przy odpowiedniej edukacyi przychodzi do bezporównania wyższego rozwoju duchowego od mężczyzn, mogąc ich zastąpić z pożytkiem dla ogółu, w najbardziej nawet zawiłych sprawach.

Potrzeba tylko przedewszystkiem, aby zdobyła możność uogólniania swych myśli, aby nie ginęła w drobiazgach, ale przeciwnie ujmowała całość przedmiotu, zdając sobie z takowego dokładną sprawę. Autorka nadaje także wysokie znaczenie kobietom na polu krzewienia moralności przy pomocy jedynie nauki, zalecając wzmacniać ducha swego, a unikać pochlebstw, rzucających rdzę na najlepsze nawet usposobienie.

Starajcie się, powiada, rozwijać wasze władze umysłowe, a znajdziecie puklerz ochraniający od wszelkiej pokusy. Kobiety wychowane w ten sposób, spełniać będą dokładniej obowiązki żony, matki i gospodyni, aniżeli nieuki, pozbawione siły woli, nieumiejące ująć w karby swego postępowania. Dla usprawiedliwienia tego zdania, opowiada zaczerpnięte z życia przykłady, gdzie kobiety wykształcone dobrowolnie zajęły się pracą pomocniczą w zatrudnieniach fachowych swych małżonków; tymczasem dla innych bez nauki, zawarty ślub był chwilą rozpoczęcia się uprawnionego próżniactwa.

Zapatrując się bardzo poważnie na życie, autorka wyśmiewa kobiety przybierające postawę osłabioną, delikatną, dokładające starań, aby mieć cerę bladą i całą postać wątłą jak kwiat na łodydze, lada podmuchem wiatru poruszany. Pozbawione bowiem sił, czyż mogą spełnić należycie przypadające im w udziale obowiązki? Rodzice i opiekuni, powiada, powinni dokładać starań, aby dziewczynki zarówno jak chłopcy rozwijały siły fizyczne przez gimnastykę i bieganie na świeżem powietrzu. Nie odejmie im to bynajmniej wrodzonego wdzięku, ale nawet przeciwnie, nabiorą przez to pełnej powabu zręczności, przy jednoczesnem zahartowaniu zdrowia.

Jako nieodrodna córka Albionu, przenosi zasadnicze rozumowanie, choćby w zaniedbanej formie,

aniżeli piękne i połyskliwe okresy, małoznacznej treści.

Wedle jej zdania ludzie nie rodzą się złymi, ale nabierają wad skutkiem braku oświaty i złego towarzystwa.

Nie wszyscy jednak zgodziliby się na jej radę, aby chłopcy i dziewczęta uczyli się razem tak w niższych jak w wyższych szkołach, aż do złożenia ostatecznego egzaminu. W takim tylko razie, powiada: wzbudzony będzie między niemi wzajemny szacunek, skoro poznają dostatecznie swój charakter, zdolności i umiejętność zwalczania napotykanych trudności. Możliwe miłostki między panienkami a chłopcami, nie przerażają jej wcale, stosunek idealny młodych ludzi wpłynie w wielu wypadkach na poprawę obyczai i przysposobi zgodnie i właściwie dobrane małżeństwa. Myśl ta przerażała i przeraża jeszcze dotąd niejednego z europejskich pedagogów, tymczasem w Ameryce znalazła choć częściowe zastosowanie, gdzie do elementarnych szkół chodzą dzieci płci obojga, a jednak zbliżenie takie nie oddziaływa szkodliwie ale przeciwnie pożyteczne wywoływa następstwa.

Jest także stanowczo przeciwna oddawaniu panienek do zakładów naukowych, jako pensyonarki stałe, widujące niekiedy tylko rodziców i krewnych. Brak, powiada, rodzinnego ogniska oddziaływa szkodliwie, dopomagając do rozwijania się samolubstwa.

Uczyć się w szkole a wracać wieczorem do rodzicielskiego domu, uważa za najodpowiedniejsze dla młodych latorośli.

Szkoły, powiada dalej, otwarte być powinny dla wszystkich bez wyjątku, a dla większego uwydatnienia zasady równości, uczenice bez względu na stanowisko rodziców mają przywdziewać jednostajny ubiór, nie różniąc się niczem od stroju innych towarzyszek. Nagroda i kara wymierzaną być winna na walnem posiedzeniu uczniów i uczenic, którzy tym sposobem przejmować się będą od dzieciństwa zasadą sprawiedliwości.

Zbudowane szkoły powinny odznaczać się nie tylko obszernością i wygodą, ale i pięknością architektury, aby młodzież z prawdziwą przyjemnością udawała się do tych przybytków nauki. Zdanie to znalazło w ostatnich czasach najzupełniejsze zastosowanie we Francyi.

Wzniesione w tym celu gmachy w wielu przynajmniej miastach, za przykładem danym przez Zjednoczone Stany Północnej Ameryki, są prawdziwym pałacem, zarówno pod względem wygody jak i zewnętrznej wspaniałości. Nawet w Szwajcaryi, gdzie gmachy różnych magistratur niczem się nie różnią od domów prywatnych, domy szkolne zwracają na siebie uwagę każdego podróżnika.

W szkołach, powiada autorka, z nauk ścisłych powinny być wykładane wszystkie gałęzie matematyki, fizyka, botanika, astronomia, historya naturalna, anatomia, medycyna, polityka, religia i nauka moralności. Nie zapomina także o literaturze, ponieważ, jak mówi, serce rozszerza się w miarę rozwijanej inteligencyi. Jest wprawdzie nieprzyjaciółką miernych utworów powieściowych, bez wyższych poglądów na myśli i uczucia ludzkie, jednakżeż przekłada czytanie nawet takich, aniżeli żadnych.

Wykład historyi powinien uledz zupełnej reformie. Opis wypadków i biografie należy odczytywać dla przyjemności w chwilach wolnych od pracy, a myśl zwracać do ogólnych określeń uwydatniających różnicę między epokami, pod względem ulepszenia i postępu we wszelkich kierunkach. Życzenie słuszne, ale na nieszczęście podobnej historyi nie mamy dotąd.

Gimnastykę i taniec zaleca bardzo, równie i pracę parę razy na tydzień w umyślnie założonych na ten cel warsztatach.

Zarys ten narodowej edukacyi, jak sama mówi, należycie nieprzetrawiony, wzbogaca nader słusznemi uwagami ogólnego znaczenia. Jest nieprzyjaciółką wychowania dzieci opartego na postrachu. Wszelką też tyranię karci surowo, a grubiaństwo i lekceważenie młodszych, zalicza do ważnych przestępstw, które bezwarunkowo należy usunąć z ognisk rodzinnych. Zbytni ucisk dziecka, przedwczesne ujęcie go w formę, której ani na chwilę niewolno mu przełamać, pozbawią młodą latorśl siły moralnej, a niekiedy nawet i władzy pojęcia, bo ustawiczny przestrach paraliżuje nasze zdolności. Takt w postępowaniu to ważny przymiot na którym zbywa rodzicom, częściej niż to można przypuścić.

Autorka wierzy, iż bezwarunkowa przewaga mężczyzn nad kobietami, jest prostem następstwem nieuctwa kobiet, umiejących być tylko albo kucharkami, któremi nie gardzi, albo ozdobami salonów, niezdolnemi do załatwiania ważniejszych spraw codziennego żywota.

W zakończeniu wypada nadmienić, że Marya Wollstonecraft poślubiła w trzydziestym siódmym roku życia, głośnego dosyć w swoim czasie literata Godwin i w pożyciu małżeńskiem, choć niestety zbyt krótkiem, była jak najszczęśliwszą i najlepszą żoną.

Autorka więc usprawiedliwiła czynem wyrażone przez siebie zdanie, że nic tak nie utwierdza zobopólnej miłości, jak wzajemne siebie poszanowanie na naukowem wykształceniu oparte.

K. G.

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła
W. de Fonville,
ułożył
B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Doktor znalazłszy środek nałapania małych raczków (crevettes), zajmował się w miarę możności tą czynnością, również jak zbieraniem mchu, mogącego służyć za pożywienie.

W wycieczkach tych towarzyszył mu zawsze jeden z członków kolonii, ale od czasu zwiększonego osłabienia nie chciał brać nikogo z sobą, co niepokoiło wielce jego przyjaciela Roberta. W poufnych rozmowach doktor wypowiedział szczerze najskrytsze myśli swoje: zgon swój uważał za nieunikniony i blizki, nie było najmniejszego środka ratunku, chciał więc zabezpieczyć ciało od pożarcia i jeszcze za życia poszukać pewnego schronienia w głębinach morskich.

Amerykanin nie mógł tej troski zrozumieć.

— Że mnie nie pojmujesz, nie dziwię się temu wcale — odrzekł doktor — bo wam dotychczas Niemcy nie zrobili żadnej krzywdy, może to kiedyś nastąpi, o czem nie wątpię ani na chwilę. Jestem Francuzem, to jest członkiem narodu, mającego ciężki rachunek ze wschodnim swoim sąsiadem. Wydarł on nam dwie prowincye, zabrał miliardy, zniszczył wsie i miasta, zmusił Paryżan do jedzenia szczurów i myszy, a ty chcesz, aby mnie nie dręczyła myśl, że zjedzony zostanę przez Johna. Nie znajdę spoczynku w głębinach morskich, wiem o tem dobrze, ale wierz mi, przysięgam ci na zbawienie duszy, wolę za życia być pożartym przez rekina, aniżeli po śmierci przez Niemca.

Robert oczekiwał z obawą na dalszy bieg wypadków, śledząc potajemnie doktora.

24 Czerwca, Pawy wyszedł jak zazwyczaj w celu łapania niby krewetek, ale w duszy jego odgrywał się widocznie straszliwy dramat, bo żegnając Roberta, pochwycił go silnie w swoje objęcia, mówiąc ze łzami w oczach:

— Żegnam cię, przyjacielu! Niech cię Bóg ma w swej świętej opiece.

— Pójdę z tobą, doktorze — szepnął przerażony Robert.

— Zabraniam ci jak najmocniej — odparł Pawy — zrobiłbyś sobie ze mnie śmiertelnego nieprzyjaciela.

Udzieliwszy taką odpowiedź, wyszedł z obozu, oglądając się po kilkakrotnie, czy czasem nie postępuje kto za nim ukradkowo. Pomimo śmiertelnej obawy, Robert nie mógł pójść zaraz, uczynił to dopiero po jakimś czasie, a wdrapawszy się na sąsiednie wzgórze, zobaczył doktora nad brzegiem zatoki wchodzącego śmiało na lody, aby oddzielić się jak najdalej od stałego lądu. Niezadługo jednak postawa była zbyt krucha, aby utrzymać ciężar idącego, Pawy więc położył się, posuwając się coraz dalej w raz obranym kierunku. Tym sposobem wdrapał się na niewielką górę lodową z nagromadzonej kry, otoczoną od południowej strony kotliną wodną. Następnie zwrócił oczy po za siebie i ukląkł odmawiając modlitwę. Robert miał nadzieję zdążyć na czas, aby przeszkodzić samobójstwu, ale na nieszczęście osłabione jego siły nie dozwoliły biedz z należytą szybkością; wydany przez niego krzyk, zamiast powstrzymać, przyspieszył wykonanie powziętego zamiaru; doktor zwrócił się na chwilę ku biegnącemu, przeżegnał go ruchem ręki a następnie zsunął się po nagromadzonych lodowiskach, niknąc wśród otchłani morskiej.

X.

Robert nie chcąc zrobić w obozie przykrego wrażenia i zwiększyć ogólną rozpacz, zachował milczenie o dobrowolnej śmierci doktora. Oddalenie jego i długa nieobecność zwróciły ogólną uwagę, robione poszukiwania w różnych kierunkach zostały, ma się rozumieć, bez skutku. Przez całą noc nie mówiono o niczem innem, jak tylko o lubianym przez wszystkich towarzyszu wyprawy. Nie wątpiono o jego śmierci, przedłużony pobyt po za obozem w czasie dziesięciostopniowego mrozu, nie mógł być spowodowany czem innem, chciano więc znaleźć przynajmniej ciało, aby mu oddać ostatnią posługę. Major upoważnił do spełnienia tej czynności, przedstawiających się w tym celu ochotników, w liczbie których najgorliwszym był John, z łatwych do odgadnięcia powodów. On

też pierwszy wykrył ślady doktora i kierunek odbytej przez tegoż drogi. Z przebiegłością prawdziwego ludożercy, odgadywał wypadki dnia poprzedniego i wydał okrzyk zgrozy, jak tylko rozpoznał na śniegu i lodzie wyżłobioną bruzdę przez ciężar ciała, posuwającego się ku wodnej przepaści.

Gdyby był zakończył żywot tuż przy brzegu, John byłby go z pewnością odszukał, a reszty łatwo się domyśléć.

Pawy przewidując to, szukał schronienia znacznie dalej a w tej chwili odpływ morza uniósł prawdopodobnie daleko ciało nieboszczyka.

Bywają jednak czasami wypadki, że fale morskie wyrzucają na ląd różne, znajdujące się wśród nich przedmioty.

John zajęty tą myślą, czynił ustawiczne wycieczki nad brzegi zatoki a śledzący jego postępki Robert, łatwo odgadywał ich znaczenie.

Nie zapominał jednak i o innej jeszcze ważniejszej czynności, ścisłego strzeżenia powierzonego mu magazynu. Zaiste posiadane zapasy uległy zbyt wielkiemu zmniejszeniu, aby kontrola wymagała wielkich zachodów.

Raz Robert przeglądając posiadane artykuły żywności, spostrzegł że jeden ze znajdujących się tam butów skradziony został. Niejeden może zapyta ze zdziwieniem, dlaczego buty pomieszczone były w zaimprowizowanej spiżarni?

Niestety, zaliczone one były do zapasów żywności; w tym celu każdemu z umierających zdejmowano obuwie, takowe wręczano szafarzowi a następnie przechodziły w ręce kucharza, który odpowiednio do przepisu doktora Pawy, przez moczenie i gotowanie czynił z nich jeżeli nie smaczną i posilną potrawę, to przynajmniej dającą zajęcie dla żołądkowego soku, który mając niełatwe zadanie do spełnienia, nie trawił przynajmniej własnych wnętrzności.

Skradziony but, wedle przekonania Roberta, znajdował się nie gdzie indziej, tylko w blizkości legowiska Johna, zajętego właśnie w tej chwili jedną ze swych tajemniczych wycieczek. Korzystając z nieobecności Niemca, Robert czynił staranne poszukiwania, ale czas jakiś daremnie, nie mogąc dostrzedz nigdzie skradzionego przedmiotu. Nagle dostrzegł, że ziemia w jednem miejscu świeżo poruszoną została. Porwał więc motykę, odrzucił na bok wierzchnią warstwę i pod nią znalazł but ukradziony, ale w zmienionej formie. Zgodnie z przepisem doktora, John pokrajał skórę na drobne kawałki i zostawił takowe w zetknięciu z ziemią, aby utraciły choć w części właściwą sobie twardość.

Popełniona zbrodnia z natury rzeczy wymagała kary.

W podobnych okolicznościach wszelkie wahanie byłoby wielce naganne; Robert wsparty świadectwem przytomnych osób, zrobione odkrycie przedstawił majorowi. Wiedział bardzo dobrze, jaki los czeka winowajcę, wniósł też skargę drżącym głosem, bo pod żadnym pozorem niewolno mu było milczéć, skoro chodziło o los nieszczęsnych rozbitków, żyjących w tak okropnych warunkach. Major wysłuchawszy oskarżenia, załamał rozpaczliwie ręce, nie przypuszczał bowiem ani na chwilę, aby tak prędko miał wprowadzać w wykonanie wydane przez siebie rozporządzenie. Wedle jego przekonania sama pogróżka powinna była być wystarczającą do zapobiegnięcia dalszym nadużyciom tego rodzaju. Na nieszczęście przewidywanie to nie sprawdziło się, popełnioną kradzież należało skarcić surowo, aby puszczona bezkarnie zbrodnia nie znajdowała naśladowców; choć więc zgryziony wielce zaszłym wypadkiem, zawezwał dwóch żołnierzy, kazał im nabić broń, dowództwo powierzył Robertowi, któremu wręczył piśmienny rozkaz wykonania wyroku.

— Skoro tylko wróci John — mówił Greely — schwytajcie go, zwiążcie i poprowadźcie go na plac tuż obok cmentarza.

Zachowajcie jednak ostrożność, zróbcie na niego zasadzkę, aby napaść z nienacka, gdyż złoczyńca ten, nie wiem z jakiej przyczyny wygląda znakomicie i zachował siłę muskularną, prawie bez żadnej zmiany. Mógłby więc bronić się i obrócić przeciw wam, coby mogło narazić was na wielkie niebezpieczeństwo.

Zaledwo major wymówił ostatnie wyrazy, gdy wszedł John i natychmiast bystre jego oczy dostrzegły, że należące do niego posłanie było ruszone. Zaczął przeklinać głośno sprawców podobnej niedelikatności, ale nagle zamilkł, spostrzegłszy zrobiony otwór w ziemi, zkąd wydobyty był *corpus delicti*. Kradzież wykrytą została, czekała go niewątpliwie kara, ale jaka? Czyżby dowódzca ośmielił się spełnić wydany przez siebie rozkaz dzienny?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Szczerba w mechanizmie świata. — Figle zimy w różnych krajach. — Burza w okolicach Sieradza. — Nieradność meteorologów. — Wróżby o dalszych losach zimy. — Prognostyki pocieszające a dowodzenia smucące. — Zarzut. — Ślizgawka na stawach warszawskich. — Skojarzone małżeństwo. — Swaty. — Ich potrzeba i użyteczność. — Swaty u Żydów i na Zachodzie. — Karnawał. — Ruch jego. — Bal panieński. — Zebrania taneczne we czwartki w resursie obywatelskiej. — Tancerze w domach prywatnych. — Wieści o Kraszewskim z San-Remo. — Wspomnienie pośmiertne o Michale Szydłowskim.

W mechanizmie świata, wyraźnie zrobiła się jakaś szczerba, psująca zwykły porządek od wieków praktykowany. Mówiąc to, mamy na myśli zimę tegoczesną, nie dlatego, że nie dręczy nas mrozami i nie zasypuje tumanami śniegu, ale że z Północy przeniosła się na Południe i płata figielki znane tam ludziom tylko z tradycyi.

W Węgrzech, gdzie klimat jest daleko cieplejszy niż u nas, mrozy trwały przez cały prawie Grudzień. W Niemczech południowych, Czechach, Szwajcaryi, nawet we Francyi, pora ta była ostrzejszą niż u nas. W Neapolu narzekają ciągle na zimno niezwykłe. W połowie Grudnia, woda tam zamarzała w kanałach i wodociągach, wszystkie fontanny przez długi czas okryte były powłoką lodową, a statuy miały peruki z lodu i całe połyskiwały od szronu. W Sycylii spadły śniegi na metr przeszło grubości i jeszcze dotąd nie stopniały. W Katanii śnieg padał dzień cały i to samo było w Messynie, chociaż w obu tych miastach śnieg jest prawdziwem zjawiskiem, niemal nadprzyrodzonem. W San-Bartolomeo, katedra, ratusz i gmach sądowy, zostały tak zasypane śniegiem, że musiano je pospiesznie podeprzéć silnemi belkami, aby nie runęły pod jego ciężarem.

To przeniesienie się niejako zimy z Północy więcej ku Południowi, widocznem jest i u nas w całym obszarze zamkniętym pomiędzy Nowo Aleksandryą i Karpatami, gdzie mrozy dłużej trzymały i górna część Wisły zamarzła. Przeciwnie znów w okolicy Sieradza, parę tygodni temu, po mroźnej nocy, nagle ociepliło się i w kilka godzin później, przy silnym wietrze lunął obfity deszcz, podczas którego dały się słyszéć grzmoty i ujrzano błyskawice. Wśród tego niezwykłego przewrotu atmosferycznego, kilkakrotnie uderzały pioruny, z których jeden we wsi Baczki zapalił stodoły.

Burza ta trwała przeszło godzinę, ku niemałemu zdziwieniu całej okolicy, gdzie najstarsi ludzie nie pamiętają podobnego zjawiska.

Nad wytłomaczeniem tego niezwykłego nieporządku natury, trwającego już od roku 1881, darzącego nas zimami niezwykle łagodnemi, meteorologowie dobrze sobie suszą głowy i objaśnienia pewnego dać nie umieją. Mimowoli też nasuwa się pytanie, co nas czeka w dalszym ciągu zimy? Prognostyki są pocieszające, wróżące dość wczesne rozpoczęcie pory cieplejszej, owej wiosny uroczej, zarówno czarownej na licu ludzkiem jak i na powierzchni ziemi. Ale przeciw spełnieniu tej miłej wróżby, występują doniesienia o wielkich burzach, panujących od połowy Grudnia z. r. na północy Bałtyku, które wzmagając się i rozszerzając coraz gwałtowniej, poruszyły wreszcie wielką ilość lodów, odległej Północy. One to topniejąc i pochłaniając przez to znaczną ilość cieplika, niosą zimno w dalekie nieraz strony Południa i mają być powodem owych mrozów i śniegów tak nieprawidłowo tam się objawiających.

Z tego wnoszą bardzo prawdopodobnie, że drugi okres zimy, zaczynający się od połowy Stycznia, choć z pewnemi zmianami, będzie może bardziej mroźny i że zimna te odezwą się późno na wiosnę a nawet w końcu wiosny.

Wszystko to być może, że się tak stanie, aleć na Bałtyku od wieków burze w Grudniu szalały i także od wieków oderwane góry lodowe wędrowały z Północy ku Południowi, a jednak we Włoszech ludzi zima nie mroziła i ciężarem śniegu domów nie gniotła, jak to miało miejsce niedawno w pobliżu Katanii.

Zarzut to choć wielce uzasadniony, nie zaprząta jednak Warszawiaków zajętych ślizgawką i karnawałem. Stawy w ogrodzie Saskim i w Łazienkach, wieczorami przy illuminacyi i dźwiękach orkiestry, napełnione dziarską młodzieżą, uroczo na prawdę wyglądają.

Ściągają też mnóstwo widzów ciekawie przypatrujących się temu pięknemu obrazowi pełnemu życia i swobody, w którym urocze nasze dziewoje biorące udział, niemałą ozdobę stanowią.

Powiadają, że na stawie w Łazienkach, pewnej pary młodych ludzi nastąpiło zbliżenie się, później zaznajomienie i wreszcie oświadczyny życzliwie przyjęte, mające się jeszcze w tym karnawale uwieńczyć małżeństwem. Ślizgawka więc była tu swatem i gdyby nie ona, kto wie czy małżeństwo byłoby się skojarzyło. Wprawdzie stara przypowieść głosi: że mąż i żona od Boga przeznaczona, nie przesądza to jednak konieczności szukania przyszłej towarzyszki życia, w czem ułatwienia mają niemałe znaczenie.

Jednem z takich są swaty... lecz nie trwóżcie się, abym to co miłość ma łączyć, jak towar oddawał w ręce faktorów. Idzie tu tylko o ułatwienie

poznajomienia ludzi pragnących małżeńskiego związku. Nieraz zdarza się, że tacy w zabiegu o kawałek chleba, tak się w pracy swej zacietrzewią, że zamknięci w szczupłem kółku bliższych przyjaciół, żadnych widoków znalezienia w niem ukochanej nie mają. Czyż dla takich otrzymanie odpowiednich wskazówek, gdzie ma szukać przyszłej małżonki, ułatwienie jej wynalezienia, nie byłoby wielce pożądanem?

Tę posługę u żydów naszych, bogatej ale niższej klasy, spełniają tak zwani *Swaci*, w tem jedynie czerpiący byt swój i utrzymanie, a na Zachodzie uorganizowane domy stręczeń małżeństw.

Wprawdzie oszustw w nich nie braknie, ale gdzież z niemi się nie spotyka? Człowiek każdy winien się starać sam sobie we wszystkiem wystarczać, a nie oglądać się na jakąś opiekę pragnącą utrzymywać go w wiecznej małoletności, jak barana dającego się z poddaniem strzydz bez skargi i oburzenia.

U nas domów podobnych nie posiadamy, ale tajemniczych pośredników znajduje się dosyć; interesantów więc nie brakuje i już czasami można w ogłoszeniach gazeciarskich czytać żądania małżeńskich związków, z szczegółowym opisem osoby i jej uposażenia. Czyż w tem jest co złego? Są to żądania, jak dotąd niezwyczajne dla nas, ale potępiać ich nie można.

Karnawał jakoś zaczyna coraz bardziej dawać znaki życia, wprawdzie magazyny i sklepy żalą się na brak targu, nawet dorożki i posłańcy publiczni narzekają, że ruchu mało a więc i zarobku, to samo cukiernicy i fryzyerzy, ale głosy te smętne dowodzą nie małej ochoty do zabawy, tylko rozumnej ekonomiki radzącej oszczędność.

Odbył się już bal panieński, w sutym przystroju uczestniczek jego, pełnych wdzięku i krasy młodości; w resursie Obywatelskiej rozpoczęły się już z wielkiem powodzeniem wieczorki czwartkowe zalecające się obowiązkowo skromnością strojów damskich. Dziś balują w resursie Kupieckiej a jutro maskarada, jako trzecia, szumiéć będzie gwarem tysięcy bombardujących siebie, piskiem, sykiem, śmiechem i półsłówkami wiele znaczącemi.

W prywatnych domach także potrochu coraz się bardziej rozweselają, ale złośliwi twierdzą, że młodzież spraszaną na te zapustne festyny, więcej nęci... kolacya gorąca jak zabawa. Gdzie wszystko się kończy na zimnej przekąsce, tam tancerze rozlatują się jak garść pierzy na wiatr rzucona, że już ich i w sto koni do mazura nie zgoni.

Ale nie wszyscy dnie świąt uroczystych i porę zapustnej uciechy, przepędzili i przepędzają równie wesoło jak Warszawa. Tam zdala od nas i od rodzinnej ziemi, myślą, sercem i oczami zwrócony do niej, przebywa nasz szanowny Jubilat, ofiara ludzkiej niesprawiedliwości.

Z Genui kolej wijąca się nad samem morskiem wybrzeżem, po sześciu godzinach doprowadza pociąg do San-Remo, miasteczka liczącego 15,000 mieszkańców. Jest ono zbiorowiskiem uliczek, zaułków, wązkich schodów, ciemnych i wysokich domów, arkad łączących domy po nad ulicą, dla wzmocnienia ich przeciw trzęsieniu ziemi, i miejscem leczniczem, zdrowem, morskiem powietrzem wśród rozkosznego klimatu.

Tam to obecnie znajduje się Nestor naszej literatury J. I. Kraszewski.

W zdrowiu jego zaszło polepszenie o tyle, o ile w wieku tak późnym można się tego spodziewać. Wieczerzę wigilijną chciał jeść razem ze wszystkimi znajdującymi się w San Remo Polakami, ale z uwagi, że rząd pruski zastrzegł sobie, aby urlopowany więzień zebrań takich unikał, spożył ją w kółku najbliższych, do których należeli: dwaj synowcowie, jedna z naszych rodaczek, która dobrowolnie opiekę nad chorym przyjęła, doktor Tymowski z żoną Włoszką, ale już mówiącą zupełnie dobrze po polsku i państwa Naimskich, bawiących czasowo w San Remo.

Wieczerza urządzona była podług uświęconego zwyczaju, z sianem pod obrusem i kluskami z makiem, kupionym w aptece miejscowej, jako zupełnie przez mieszkańców nieużywanym. Pomimo braku sił i wielkiego zdenerwowania, zacny Kraszewski cieszy się na szczęście niezłym apetytem, szczególniej, gdy teraz na swem gospodarstwie może miéć potrawy po polsku przyrządzone.

Powietrze teraz prześliczne w San-Remo, ciepło dochodzi do 20 stopni Reaumura. Polaków mniej bawi jak w latach poprzednich, jest ich zaledwie dwudziestu kilku, a chociaż ceny mieszkań pospadały, zawsze jednak utrzymanie jednej osoby wymaga wydatku od 7 do 12 franków dziennie.

Dzieląc się z wami tą choć troszkę pocieszającą wiadomością, nie weźmiecie mi zapewne za złe, gdy poświęcę słów kilka pamięci człowieka prostego, nieumiejącego ani pisać ani czytać, będącego tylko... wójtem, a który jednak potrafił zyskać szczery i to wielki szacunek, wszyskich warstw społecznych bez żadnego wyjątku. Sztuka to niemała a i zasługa wielka.

Był nim włościanin we wsi Wołkarzewie w Wyszogradzkiem, Michał Szydłowski, który rzeczywiście nie umiał ani pisać ani czytać, ale posiadał przymioty niezmiernie ważne: naturalny, zdrowy rozsądek, poczucie sprawiedliwości, rozumne pojęcie obowiązków, zarówno chrześciańskich, jak obywatelskich i dobrą wolę wykonania tego co kazał mu rozum poparty sercem. Na takich zasadach rozwijając życie swe, zacny Szydłowski tak dalece zyskał uznanie w całej okolicy, że nietylko do późnej starości był wójtem, ale gdy już nie mógł pełnić tych obowiązków, gmina na wójta syna jego obrała. To też śmierć jego powszechny żal obudziła. Rządy gminne spełniając sam energicznie, furmanek stójkowych nie brał nigdy za darmo, niechętnych sobie nie prześladował, chętnych nie faworyzował, dwory z wsiami stale prowadził do zgody, popierał usilnie zniesienie służebności i szachownicy drogą dobrowolnych układów i sam do tego przykładał rękę, wreszcie pokątknych doradzców nienawidził i mieszkańców bronił od wyzysku ich niegodziwości.

Oceniając te zasługi ś. p. Michała Szydłowskiego, pan Nakwaski właściciel dóbr Nakwasina, na mogile jego wystawił pomnik na cmentarzu w Orszymowie, złożony ze słupa kamiennego z odpowiednim napisem i z krzyża na szczycie jego utwierdzonego.

Poświęcenie odbyło się wobec tłumnie zebranych włościan, szlachty drobnej i właścicieli większych majątków w gminie. Cześć pamięci zacnego człowieka.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Nowe pismo.** W gronie tutejszych malarzy powstał projekt założenia pisma humorystycznego na wzór wydawnictwa „Fliegende Blätter".

Artyści kładą główny nacisk na rysunkowy dział pisma, tekst zaś poświęcony wyłącznie humorowi, bez odcienia satyry osobistej, ma iść w parze z illustracyami.

Nie należymy do rzędu tych, którzy witają każde nowe pismo ironiczną apostrofą, dającą się mniej więcej streścić w słowach: Ciebie tu jeszcze było trzeba! na co? po co? dość już biedy, chcesz ją powiększyć.

Przeciwnie, sądzilibyśmy nawet, że illustracya humorystyczna, prowadzona w tonie przyzwoitym, szlachetnym, jest w naszem dziennikarstwie potrzebną i na powodzenie liczyć może.

Szlachetność i przyzwoitość, są to warunki, od których naszem zdaniem zależy byt pisma.

Humor swojski, poczciwy, serdeczny, taki co to uśmiać nam się każe, nie obudzi niesmaku, lecz da chwilkę wesołości, o którą tak trudno, jest zawsze bardzo, bardzo pożądany.

Że nowa illustracya humorystyczna nie wstąpi w ślady poprzedniczek, spodziewać się mamy pewne prawa i życzymy jej tego całem sercem.

*** **Dwa konkursy** znajdują się obecnie na porządku dziennym. Jeden malarski, rzeźbiarski i architektoniczny; drugi zaś dramatyczny. Sędziowie pierwszego łatwiej będą mogli spełnić swe zadanie, trzynasty i czternasty b. m., są to dni decydujące o losach prac nadesłanych, ale za to tamci panowie od dramatów i komedyi napocić się muszą. Chwalimy im te trudy podjęte w imię obywatelskich obowiązków, gotowi jesteśmy nawet laurowym wieńcem otoczyć ich skronie, gdy wynajdą utwór istotnej wartości i do nagrody zakwalifikują, lecz tego zaszczytu nie zazdrościmy panom sędziom ani trochę.

Utworów dramatycznych nadesłano moc wielką, zachęceni nagrodą względnie wysoką, jak na nasze stosunki literackie, rzucili się do tego wszyscy, nie wyłączając z pewnością takich, którzy o dramaturgii elementarnego nie mają wyobrażenia. Dość spojrzéć na cyfrę, aby się o tem przekonać.

Sędziowie, naturalnie, każdą z prac przeczytać muszą, ocenić, rozpatrzyć, przedyskutować, także ich święty obowiązek. Potrzeba tutaj przedewszystkiem cierpliwości i jeszcze cierpliwości.

Utwory należące do pierwszego z konkursów (malarstwo i t. d.) wystawione będą na widok publiczny dopiero na parę dni przed naradą sądu, gdyż obecnie trudno byłoby je pomieścić. Gdy wylosowane obrazy znikną z widowni publicznej, miejsce się znajdzie. Na wystawę konkursową przeznaczoną być ma specyalnie sala po prawej stronie, za dużą salą, środkową.

Utwory konkursu drugiego, dla nas profanów niedostępne.

*** **Oszczędność.** Z całego kraju nie wyłączając bardziej oddalonych okolic, dochodzą nas wieści o złym stanie przemysłu, stagnacyi w handlu, nizkich cenach zbóż i klęskach jakie dotknęły obywateli wiejskich w ubiegłej kampanii rolnej. Zakończeniem każdej niemal tego rodzaju korespondencyi, jest wzmianka o oczekiwanej wizycie tej lub owej zagranicznej śpiewaczki, pianistki, słowem importowanej znakomitości. Ludziska wyciągają się do ostatniego i aby na miano obskurantów nie zasłużyć, na koncert tłumnie spieszą.

Jaki z tego rezultat, łatwo odgadnąć. Znakomitość ruble do kieszeni zagarnia, jedzie dalej, a nasi protektorzy sztuki kulą się, gdy przyjdzie kupić książkę lub nawet kalendarz, który od tak dawna przecież po najdalszych zaściankach, prawo bytu sobie wyrobił. Księgarze i wydawcy bankrutują, ruch piśmienniczy gaśnie, chociaż wiemy wszyscy, że święty ten ogień jest ołtarzem Znicza, który podsycać jest naszym obowiązkiem, świadomość tu nie na wiele się przyda, gdy właściwej porze chłodna rozwaga i rachunek z sukursem jej nie pospieszą.

Wartoby raz przecież zrozumieć czem jest oszczędność i w jakich warunkach zastosować ją wypada, bo jak mawiali przodkowie, grosz bywa niekiedy dukatem, a dukat groszem.

*** **Nowe pole do pracy.** Donosiliśmy już przed paroma miesiącami o przepisie, mocą którego kobiety mogą u nas być przyjmowane do aptek. Obecnie dodać możemy nieco szczegółów w tym względzie.

Do aptek wstępować mogą jako uczenice, osoby które ukończyły kursa gimnazyalne i to jeżeli złożą egzamin z języka łacińskiego, w zakresie czterech klas gimnazyów filologicznych.

Panny, które ukończyły kurs wyższych zakładów żeńskich, po dwóch latach zajęć w aptece, dopuszczane już będą do egzaminów na podprowizorów, a potem według istniejących przepisów na prowizorów.

Aptekarstwo należy do zajęć bardzo mozolnych, niedopuszczających odpoczynku ni święta, zwłaszcza na prowincyi, w pomniejszych miastach i miasteczkach, gdzie jedna apteka obsługuje okolicę: zapewnia jednak rodzinie kobiety wytrwałej, dzielnej, nie zrażającej się trudnościami, byt dostatni i spokojny.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Kolonia ślepych.** Premosello jest małem włoskiem miasteczkiem, posiadającem około 800 mieszkańców, znajduje się ono na drodze do Simplon, w dolinie Ossola, w połowie drogi między Pallanza i Domodossola. Od lat przeszło 120 znajduje się w tem miasteczku kolonia ślepych. Prawie wszyscy są ślepi od urodzenia, inni tracą wzrok pomiędzy 15 a 20 rokiem. Ci biedacy posiadają rzadką inteligencyą; pomimo, że czytać nie umieją, śpiewają w kościołach nieszpory tak samo jak ci, którzy mają książkę przed sobą. Przez dotknięcie poznają wartość monet i banknotów; pamięć ich jest niezrównana: pamiętają wybornie to co się im opowiadało przed wielu latu. Jeżeli słońce świeci, ślepy z Promesello powie która jest godzina i pomyli się chyba tylko o kilka minut. Zajmują się głównie ciężką robotą w polu; noszą drzewo, siano, ziemię, kamienie, narzędzia rolnicze i uprawiają ziemię z całą dokładnością. Skoro się ich poszle gdzie w pole do roboty, nie zabłądzą nigdy, idą prosto i to najkrótszą drogą; ciągną ręczne wózki, robią powrozy, czyszczą len. W święta chodzą po wsiach grając na kobzach; obarczeni ciężkiem brzemieniem udają się na dalekie pastwiska przez strome i wązkie ścieżki, bez innego przewodnika jak gruby kij. Jeżeli się ich przestrzega, aby byli ostrożni i mówi o niebezpieczeństwach na jakie się narażają, uśmiechają się tylko z pewnością siebie. W podróży umieją wybornie oznaczyć drogę, którą przebyli i tę, która im do przebycia zostaje. Rozmierzają z nadzwyczajną dokładnością odległość przestrzeni. Rozmawiając z jaką osobą, umieją w przybliżeniu jej wiek odgadnąć. Zbytecznie dodawać, że żenią się oni tylko między sobą, bo trudno-by znaleźć dziewczynę ze zdrowemi oczami, któraby chciała swój los łączyć z ich smutną dolą.

*** **Kosztowne wety.** Król włoski Humbert, jest bardzo oszczędnym człowiekiem, pamięta on zawsze, żeby utrzymanie domu nie kosztowało zbyt wiele i przy końcu każdego roku, przegląda rachunki wydatków pałacowych.

Rewidując w tych dniach budżet ubiegłego roku, spostrzegł, że rubryka „desert" pochłonęła ogromne sumy, z powodu talerza poziomek, których królowa bez względu na porę roku, miała żądać codzień koniecznie.

Po bliższem zbadaniu sprawy, okazało się, że nie królowa zjadała poziomki, lecz jeden ze służby kuchennej. Skończyło się na dymisyi nadwornego liweranta i jednego z kuchmistrzów. W bieżącym roku wety królewskie będą mniej kosztowne.

*** **Praktyczna nowość.** Z powodu Nowego Roku zarząd telegrafów w Holandyi obniżył na dzień jeden taryfę telegramów z powinszowaniem. Adresant podawał nazwisko osoby i miejsce zamieszkania, a zarząd biura posyłał życzenia, naturalnie jednakowe dla wszystkich.

Telegram kosztował dziesięć centów, była to pierwsza próba, która się doskonale powiodła, gdyż korzystało z niej przeszło 40,000 osób.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani K. Z. w Pawołoczy. Życzenie chętnie byłoby spełnione, ale rzecz wymaga zupełnego przerobienia tak o formie w niej nic nie pamiętano. Myśli w niem zacne i poczciwe, nic im zarzucić nie można, ale to jeszcze nie poezya, chociaż jako pamiątka serdecznością swą bardzo drogocenna.

Pani Jadwidze B. w Bunicach. Serya pierwsza powieści Biblioteczki Przyjaciela Dzieci już wyszła, o czem ogłoszenie pomieszcza się w Tygodniku, druga zapewnie wydaną zostanie.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Декабря 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.

Opis do N-ru 3.

N. 1—4 i ryc. 24. Ubrania domowe i spacerowe dla pań i dzieci.

N. 1 i 24. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Na modelu do sukni z lodenu marynarskiego koloru, części garnirunkowe stanika dane były z surah bordo. Podszewkową spódnicę pokrywa szeroki wolant, ułożony w 10 cent. szerokie kontrafałdy. Przednią draperyę, której mały model i miary dajemy na ryc. 24, dopełnia z tyłu bryt prosty, 220 cent. szeroki. Część przednią *a* marszczy się całą w górze, a część *b* od 1—35, od 35-78 zostawia się gładko, a resztę do 200 fałduje się ściśle i wszywa w pasek; boczne brzegi obudwóch części trzeba krzyżykiem do krzyżyka i przez gwiazdkę do dwukropka ze sobą złączyć, część *b* podług krzyżyków i kropek ściśle sfałdować a od dwukropka do kropki gładko zeszyć, drugi brzeg części *a* od krzyżyka do punktu w pukiel podpiąć. Plecki kaftaniczkowego stanika zakończone są fałdowaną baskiną, pod którą, zarówno jak i pod przody, daje się niebieską atłasową podszewkę; przy prawej stronie przodu dodane są w krajaniu trzy patki do zapinania 4 cent. szerokie, przedzielane takiemiż odstępami. Na żabot w górze i u dołu zmarszczony, z jednej strony przyszyty do przodu, z drugiej na haftki zapinany, potrzeba prostego, 50 cent. szerokiego kawałka surah. Mankiety i kołnierz są z lodenu i surah; kołnierz wiąże się na jedwabne sznury z kwastami. Guziki duże metalowe.

N. 2. Płaszczyk z peleryną dla małej dziewczynki.

Płaszczyk z dyagonalu piaskowego koloru, podszyty dla ciepła flanelką ponsową, ma przody zapinane na dwa rzędy guzików. Długość płaszczyka dopełnia falbana 23 cent. szeroka, mająca 175 cent. obwodu, w górze 3 razy przemarszczona i zakończona nagłówkiem 1 cent. szerokim, którą zdobi szeroki haft krzyżykowy, odrobiony bawełną blado żółtą, niebieską i ciemno ponsową, a brzeg dolny odziergany jest w zęby. Pelerynę mającą 33 cent. przedniej a 38 cent. tylnej długości, wszywa się w pasek kołnierzowy $2^1/_2$ cent. szeroki, razem z kapturkiem spiczastym podszytym materyą piaskową. Przy rękawach mankiety 7 cent. wysokie.

N. 3. Sukienka z paletocikowym stanikiem dla dziewczynki lat 8—10.

Sukienkę z szafirowego wełnianego materyału zdobią patki różnej długości u dołu spiczasto zakończone i guzikiem przyczepione, pod które wszędzie daje się wyłogi ciemno ponsowe. Spódniczka z szyrtyngu z tyłu zupełnie p o k r y t a jest materyałem zwierzchnim, a z przodu obłożona 24 cent. szeroko materyałem ponsowym, ozdobionym patkami, na który tylko trochę zachodzi górna część z materyału sukni, zakończona obrębem 4 cent. szerokim i przyszyta szwem niewidocznym do spódnicy. Pod otwarte przody paletocika, ozdobione ranwersami mającemi 9 c. górnej, 2 na wcięciu w pasie a 12 cent. dolnej szerokości, dodaje się część szmizetkowę szafirową, 32 cent. długą, marszczoną, zakończoną u dołu bufą 9 c. długą, z jednej strony przyszytą a z drugiej przypinaną. Obiedwie połowy pleców zakończone są patkami 10 cent. długiemi a 8 szerokiemi, pod które dodaje się od spodu część marszczoną, 60 c. szeroką. Kieszonki 14 c. szerokie mają 11 c. środkowej wysokości: mankiety są 6 c. szerokie.

N. 4. Ubranie dla małego chłopczyka, złożone z majtek, bluzy i stanika spodniego.

Bluza podobna do bluz marynarskich, jak one składająca się tylko z przodów i pleców, ma 35 cent. długości tylnej. Przody zapinane na dwa rzędy guzików, zaszyte są przy zapięciu w dwie kontrafałdy 5 cent. szerokie, pod któremi przecięte są otwory do przeciągnięcia paska 6 c. szerokiego, na którym z boku przyszyte są kieszonki. Kołnierz marynarski mający 17 cent. długości tylnej, kraje się razem z przedniemi ranwersami. Majtki 48 cent. długie, z boków zapinane, przypinają się na guziczki do staniczka spodniego. Model odrobiony był z sukiennego dyagonalu z płaskiemi złoconemi guzikami; kotwice wyszyte bajorkiem złotym.

N. 5, 14 i 25. Suknia ozdobiona wyszyciem z sutaszu.

Na dodatku z krojami i deseniami do N. 1 i 2 r. b., na fig. 89 dajemy próbkę torsady do ozdoby sukni; podobny deseń powtarzany i w jedną całość złączony stanowił wyszycie na całym bocznym brycie sukni, u dołu i na staniku. Na modelu przy sukni wełnianej bronzowej, wszędzie pod wyszycie użyty był aksamit takiegoż koloru. Na ryc. 25 dajemy mały model kroju i miary draperyi, której górne brzegi i boczny zaokrąglony brzeg części przedniej fałdują się podług znaków i wszywają w pasek, a bok prosty także przyfałdowany zeszywa się z brytem tylnym *b*. Do stanika z krótką, z boków podciętą baskiną, dodany jest spiczasto ścięty plastron, zakończony z boków dwiema fałdami, poniżej których przody zapinają się na dwa rzędy guzików. Kołnierzyk stojący i mankiety aksamitne.

N. 6, 26 i 37. Kaftanik strojny do negliżowego ubrania.

Kaftanik odrobiony z białego *floconné* garnirowany białą wełnianą, 11 cent. szeroką koronką. Mały model formy i miary dajemy na ryc. 20. pod literą *a* dajemy miarę żabotu plisowanego i płasko zaprasowanego, który robi się z zeszytych koronek albo z tiulu koronkowego. Na przodach w górze naszyte są dla ozdoby dwa malowane guziki z kości słoniowej. Rękawy zakończone są wykładem z materyału floconne i ozdobione mankietem z bufką, na który zszywa się dwa 50 c. długie kawałki koronki.

N. 7—11. Serwetki.

N. 8 i 11. Serwetka ze szlakiem płasko haftowanym na kanwie siatkowej.

Na modelu do tła serwetki z ponsowej jedwabnej materyi, mającego 85 cent. szerokości a 125 długości, dodany był szlak, wyszyty na szarożółtej kanwie siatkowej pelami kolorowemi, którego próbkę naturalnej wielkości dajemy na ryc. 11. Figury deseniu złożone z 4 gałązek, robione były na modelu ściegiem płaskim. pelą w kolorze żółtym, blado niebieskim, oliwkowym, białym i blado różowym; każdą gałązkę robi się całą jednym kolorem, a w następnych figurach zmienia się porządek kolorów, zarówno jak i w gwiazdkach. Proste szlaczki po brzegach robić tylko białym i różowym kolorem, brzeżek oszyć sutaszem kremowym i zakończyć ząbkami robionemi naprzemian kolorem białym, różowym i niebieskim, przeprowadzając nitki do dalszej roboty w górze przez środek ząbków.

N. 9. Serwetka z aplikacyą haftu.

Na modelu tło serwetki trzymającej 140 cent. w kwadrat było z szafirowego pluszu, na którym rzucik stanowiły oddzielnie haftowane, wycięte i aplikowane gałązki kwiatów. Różne oddzielne kwiatki i gałązki robione fabrycznie i wycięte sprzedawane bywają w sklepach z wyrobami szmuklerskiemi ozdobnemi, a także zastąpione być mogą robotą krzyżową wycinaną i aplikowaną.

N. 10 i 7. Serwetka oszyta koronką *Bobbinet*. (Dentelle guipure corde).

Serwetka do przykrycia koszyczka z robotą, zrobiona była z jasno bronzowego atłasu i oszyta wkoło pięknie wyszywaną koronką bobbinet, której kontury obwiedzione były grubym sznureczkiem z białej bawełny, rzadko przydziergiwanym. Koronki takiej dostać można gotowej, ale znacznie taniej wyniesie kupić bez sznureczka, którego naszycie jest łatwe i pospieszne. Na ryc. 7 dajemy próbkę koronki w naturalnej wielkości.

N. 12. Fryzka z ząbków ze wstążki. Próbka roboty ząbków na ryc. 29 w N. 4.

Fryzka złożona z dwóch rzędów ząbków; ze wstążki serge prawie 2 cent. szerokiej, w kolorze zielonym i kremowym; na każdy ząbek potrzeba 5 c. wstążki, którą składa się w sposób wskazany na ryc. 20 w N. 4. Kolory wstążki zmieniają się naprzemian, a w górnym rzędzie każdy ząbek zdobią dwie perły; obadwa rzędy przyszyte są razem do paska ze wstążki zielonej, podszytego wstążką kremową. Końce do wiązania można dać z jednej albo z obydwóch kolorów wstążki.

N. 13. Suknia z bawetowym stanikiem.

Do ubrania czarnej kaszmirowej sukni użyty był czarny aksamit, wytłaczany w piękny deseń. Z pod przedniego, gładko na podszewkowej spódnicy naszytego bryta, wygląda u dołu 10 cent. szerokie plisowanie z gładkiego aksamitu. Krótką przednią draperyę dopełniają z tyłu suto sfałdowane, wolno spuszczone proste bryty. Kamizelka i mankiety aksamitne.

N. 17 i 18. Suknia z draperyą dla panienki lat 9—10.

Ryc. 17—18 przedstawia z przodu i z tyłu suknię raz odrobioną z gładkiego dyagonalu, drugi raz z *noppé* w cienką kratkę. Na gładkiej podszewkowej dana spódniczka wokoło plisowana, którą przyszywa się szwem odwracanym do krótko z boków podciętego stanika, którego przody i plec-



N. 1—4. Ubrania domowe i spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Suknia z paletocikowym stanikiem. Model kroju na ryc. 24. N. 2. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki. N. 3. Suknia z paletocikowym stanikiem dla dziewczynki lat 8—10. N. 4. Ubranie dla małego chłopca (majtki, stanik pod spód i bluza.)

ki są drobno sfałdowane, w górze w kształcie karczka ściegiem cierniowym przeszyte, a na wcięciu w pasie nieznacznemi ściegami do podszewki przyszyte. Draperyę, przednią, ułożoną z czworokątnego bryta trzymającego 100 cent., którego jeden brzeg boczny sfałdowany bierze się do góry, i szarfę 28 cent. szeroką, zastępującą tylne upięcie przyszywa się do brzegu stanika; koniec szarfy ma 45, a pukiel 38 cent. długości. Przyszycie przykrywa pasek bawetowy aksamitny, mający z przodu 10, z tyłu 9, a z boków 6 cent. szerokości. Stanik i pasek zapina się z przodu na kryte haftki. Rękawy rozszerzone u dołu, składa się zwierzchu w 4 fałdy i wszywa w pasek 5 cent. szeroki. Kołnierzyk ma 4 cent. wysokości.



N. 7. Wyszywana koronka bobbinet „Dentelle guipure corde" do serwetki ryc. 10.



N. 5. Plecy do ryc. 14.



N. 6. Przód kaftaniczka negliżowego do ryc. 37.



N. 8—10. Serwetki.

N. 8. Serwetka ze szlakiem haftowanym na siatkowej kanwie. Deseń szlaku na ryc. 11.

N. 9. Serwetka z haftem aplikowanym. Deseń rzuciku na r. 32 w N. 36 Tyg. M. z r. 1885.

N. 10. Serwetka z koronką obwodzoną sznureczkiem. Zobaczyć ryc. 7.



N. 12. Fryzka z ząbków ze wstążki. Próbka roboty na ryc. 20 w N. 4.

N. 19, 21 i 22 oraz ryc. 22 w N. 4. Sukienka dla małej dziewczynki robiona szydełkiem.



N. 13. Suknia z bawetowym stanikiem

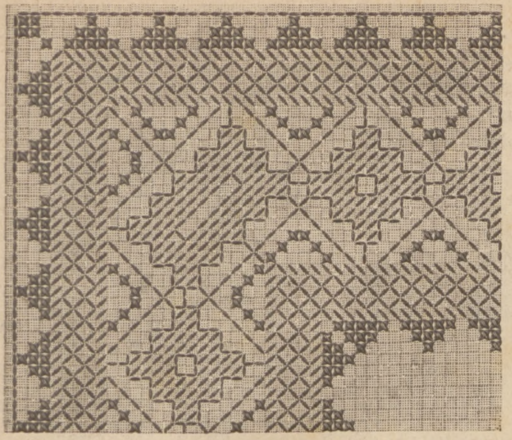
Model sukienki mającej 45 cent. długości, 88 dolnego obwodu a 21 cent. szerokości w piersiach; robiony był z włóczki angielskiej czerwono bronzowej. Najlepiej jednak stosować robotę do formy wyciętej z papieru, dopasowanej do wzrostu dziecka. Najpierw zrobić oddzielnie plastron z przodu, zaczęty od góry na oczek 46 i robiony poprzecznie rzędami tam i napowrót idącemi. Dwa początkowe rzędy ściegiem plisowanym, rząd 3 sł. dwa razy nawijanemi, po 2 przedzielane 2 o. powietrznemi. Dalej 4 rzędy plisowane, a następnie aż do wcięcia w pasie robić plastron ściegiem, ktorego próbkę dajemy na ryc. 22 w N. 4. W pasie w 1-szym rzędzie zawsze 1 o. śc. w 2 o. pow., a między temi naprzemian 1 i 2 o. pow., potem 4 rzędy plisowane, 1 rząd sł. 3 razy nawijanych, po dwa przedzielane 2 o. pow.; dalej 4 rzędy plisowane i znów plastron zakończony słup. 3 razy nawijanemi, robionemi bez przedziałów. W pasie, u dołu i u góry przez słupki przewłóczy się wstążkę do przyciągania. Do podłużnych brzegów plastronu przyrabisją się połowy przodów i pleców, które robi się wzdłuż ściegiem plisowanym, dodając w pierwszym rzędzie potrzebną ilość o. łańcuszka na ramiączko z 8 lub 10 rzędów plisowanych. Dalej podług formy dopasować rzędy wykroju pachy, a przy pleckach u dołu dodać klinik z trzech rzędow tam i napowrót, mających 30, 23 i 16 o. długości. Złączyć części ramiączek z lewej strony; tak samo spoić plecy, zostawiwszy w górze rozporek 19 cent. długi. Górny wykrój obrobić o. śc., słupkami do nawleczenia i pikotami, które dają się także przy rozporku z prawej strony, przy którym dane dziurki do zapinania, a do lewej strony przyszywa się guziczki. U dołu



N. 11. Szlak do ryc. 8. Haft płaski na kanwie siatkowej.



N. 14. Suknia wyszyta sutaszem. Zobaczyć plecy na ryc. 5, model kroju draperyi na ryc. 25.



N. 15. Deseń szlaku do serwety ryc. 46 i 47 w N. 4. Próbka roboty na ryc. 27.

to próbka wskazuje, a dalej do sukienki, biorąc w każde oczko plisowania. Rząd dolny do brzegu sukienki także w każde oczko, azeby się trochę marszczył, a ponieważ powinien być szerszy, więc zęby składają się nie z pięciu lecz z siedmiu rzędów; w 6-tym rzędzie boki zębów robi się jak w 5-tym, a w środku daje się 3 o. pow., 3 słupki przedzielane 1 o. pow. i znów 3 o. pow., na zagłębieniu zębów grupy słupków schodzą się z sobą. W rzędzie 7-mym robić 1 o. śr. w zagłębianiu, jedną grupę z 3 sł., 1 półsł. w środkowe o. pow. pomiędzy słupkami, 3 o. pow., jedną grupę sł., 3 o. pow., a na środek zęba 1 grupę sł. jak w rzędzie 5, 3 o. pow. i znów grupę sł.; brzeg obrobić pikotami. Rękawy robić wzdłuż podług formy. Pod ażurowy plastron poddać podszewkę z kawałka materyi, mającego 31 cent. długości, 14 górnej a 19 dolnej szerokości. Pomiędzy sł. górne nawlec $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką wstążkę do przeciągania; w pasie przyszyć od spodu do boków sukienki i przewlec zwierzchu pomiędzy sł. wstążkę 6 c. szeroką. Takąż wstążkę przewlec u dołu pomiędzy sł., z boków przepiąć szydełkowemi patkami, a z tyłu zawiązać na kokardę.



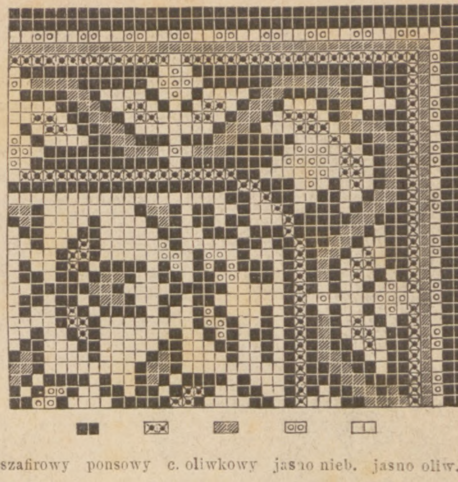
N. 17. Suknia z draperyą dla dziewczynki lat 8—10. Zobaczyć plecy na ryc. 18.

N. 20. Sukienka dla panienki lat 7—9.

W długim, luźno wciętym staniku sukienkę zdobią dwa rzędy koronki szydełkowej, której próbkę dajemy na r. 22; górny rząd przyrabia się z przodu do długich słupków plastronu, jak zwierzchni materyał przodów i pleców jest w środku otwarty, a po brzegach z każdej strony złożony w 3 małe fałdy, pomiędzy któremi środek zapełnia



N. 19. Sukienka dla małej dziewczynki robiona szydełkiem. Plecy na ryc. 21. Próbka koronki na ryc. 22, próbka plastronu na ryc. 22 w N. 4.



N. 16. Deseń do roboty krzyżowej do serwety na biurko ryc. 45 w N. 4.

plastron aksamitny. Przody zapinają się z boku przy plastronie na kryte haftki. Spódniczka w górze zmarszczona ma 33 cent. długości a 170 cent. obwodu. Draperyę przednią z prawej strony układa się z bryta prostego, mającego 110 c. długości a 55 szerokości, którego górny brzeg lekko przymarszczony z przodu i z boków, przyszywa się szwem odwracanym do brzegów stanika, resztę suto zmarszczoną przyszywa się do plecków; boczne brzegi fałdują się ściśle z przodu i z tyłu. Na draperyę z lewej strony trzeba bryta 65 cent. długiego a 42 szerokiego, którego brzeg górny z przodu i z boku przyszywa się do stanika cokolwiek przymarszczony, z tyłu spuszcza luźno a z boku podpina się w fałdy poniżej zeszycia stanika. Brzeg boczny z przodu podpięty jest w pukiel. Z tyłu dopełniają draperyę dwa pukle upięte z 30 cent. szerokich a 55 długich kawałków. Model sukienki odrobiony był z wełnianego paliowego materyału w kolorowy rzucik, z dopasowanym szlakiem 7 c. szerokim. Plastron i kołnierzyk z aksamitu bordo, kokardy ze wstążki w atłasie.



N. 18. Suknia z draperyą. Przód na ryc. 17.



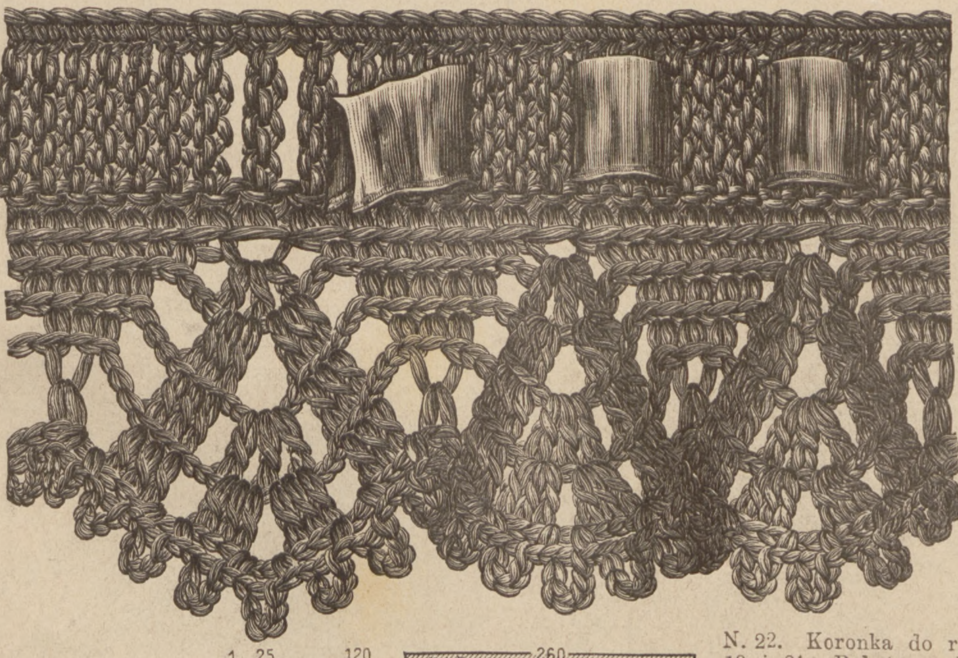
N. 20. Sukienka z plastronem dla dziewczynki lat 7—9.



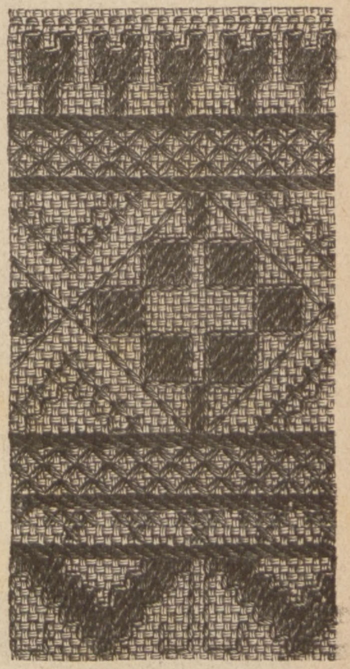
N. 21. Sukienka szydełkowa dla małej dziewczynki. Przód na r. 19. Próbka koronki na r. 22, ścieg do roboty plastronu na ryc. 22 w N. 4.

N. 23. Suknia z szarfami dla panienki lat 12—14.

Zwierzchnią spódniczkę układa się na gładkiej podszewkowej w potrójne kontrafałdy. Przody długiego stanika



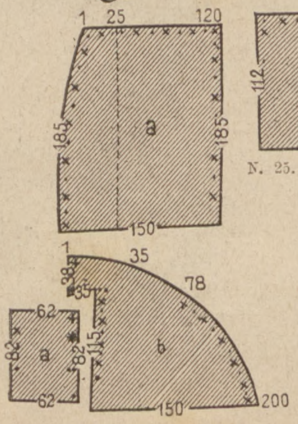
N. 22. Koronka do ryc. 19 i 21. Robota szydełkowa.



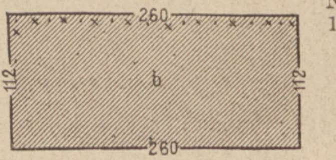
N. 27. Szlak do serwety na biurko do pisania ryc 45 w N. 4. Robota krzyżowa i ściegiem na dwie strony, bawełną ponsową i niebieską.



N. 23. Suknia z szarfami dla panienki lat 12—14.



N. 24. Model kroju i miary draperyi do ryc. 1.



N. 25. Model kroju i miary draperyi do ryc. 5 i 14.



N. 26. Model kroju kaftanika negliżowego ryc. 6 i 37.



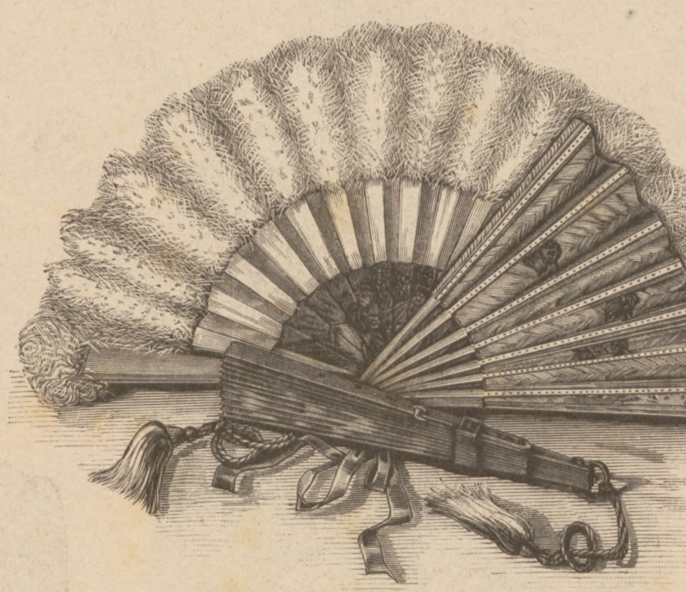
N. 28. Szarfa do sukni balowej, upięta ze wstążki szerokiej morowej, z kwiatów i liści zrobionych z piórek.

z baskiną ozdobione szerokim kołnierzem z ranwersami, zapięte są tylko poniżej wcięcia w pasie na srebrną agrafę, a przez całą długość są otwarte i dopełnione długą kamizelką, która tak jak i szarfa przypięta do baskiny plecków, zrobiona była z materyi w pasy aksamitne i atłasowe, a z przodu zapinała się na dwa rzędy guziczków. Wstążka 6 cent. szeroka w pasy aksamitne i atłasowe opasana z tyłu pod szarfą, z boków lekko przewinięta, z przodu związana jest w długie pukle i końce.

N. 35. Ubranie na ślizgawkę.

Model ubrania składał się z fałdowanej spódnicy i bluzki z wełnianego lodenu i z paletocika z materyału *double*, wszystko w kolorze złoto bronzowym z obłożeniem z futra bobrowego lub wydry, u spódnicy 15 cent., przy paletociku 11 cent., a przy spiczasto przedłużonych przodach schodzące się do 35 cent. szerokości. Takiem samem futrem obłożony brzeg ronda bronzowego filcowego kapelusza, ubranego jaśniejszemi piórami i wstążką.

(*D. n.*)



N. 31—33. Ozdobne wachlarze.

N. 31. Wachlarz drewniany pokryty białym atłasem i białemi piórami.

N. 32. Wachlarz w oprawie z kości słoniowej w kształcie piór, pokryty gazą malowaną w główki ptaków.

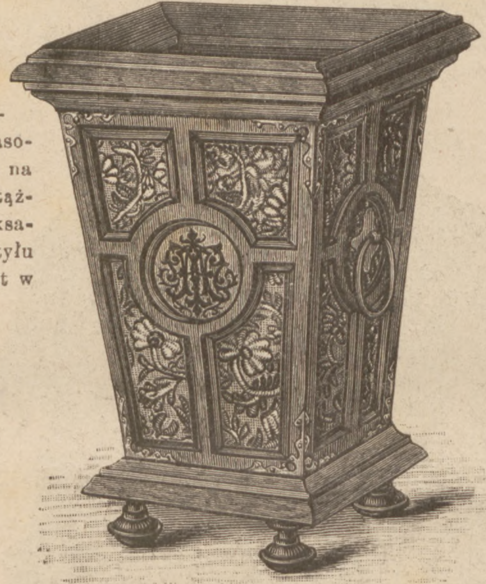
N. 33. Wachlarz w oprawie z drzewa żółto politurowanego, pokryty blado żółtym atłasem.



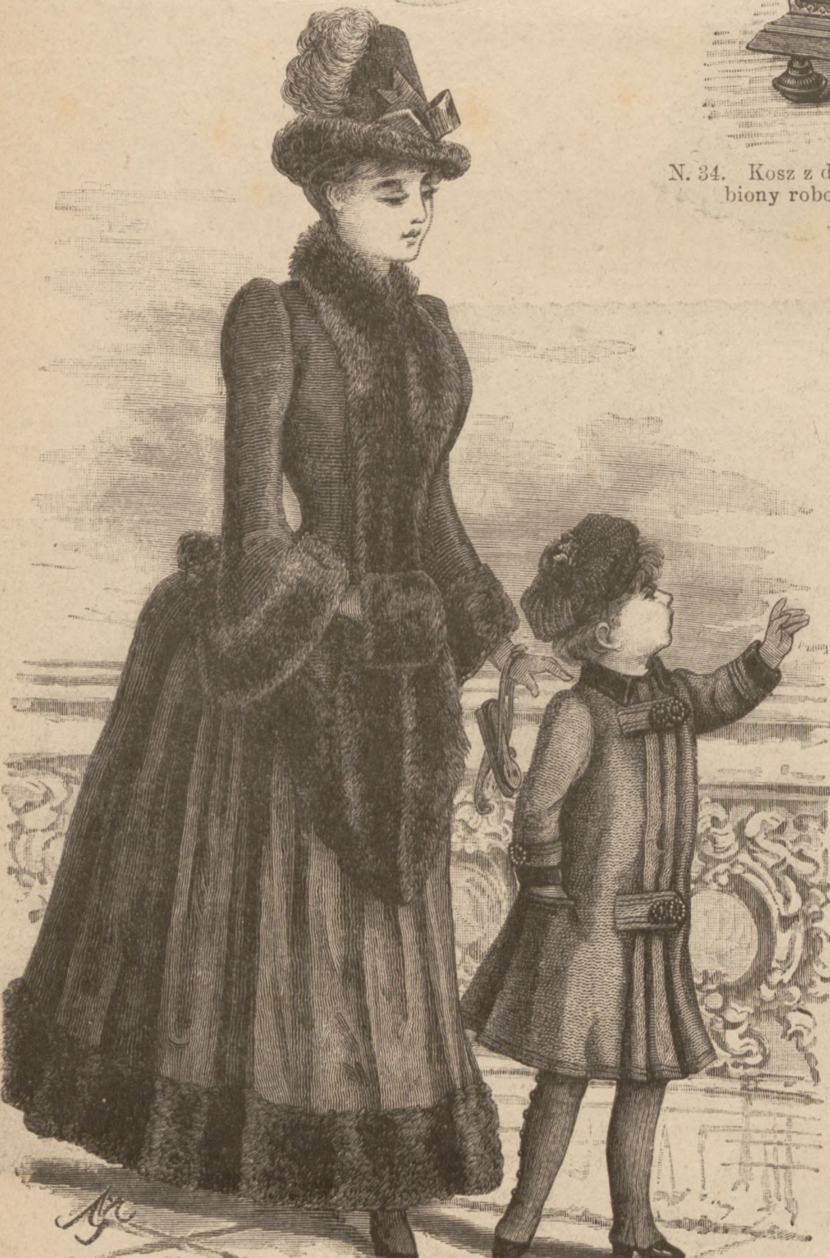


N. 29. Bukiecik z maku i liści do sukni balowej.

N. 30. Bukiecik do sukni balowej, ułożony z kwiatów i liści z piórek, z kokardą z wstążki morowej.



N. 34. Kosz z drzewa dębowego do papierów, ozdobiony robotą snycerską i haftem Mossul.



N. 35. Ubranie na ślizgawkę. N. 36. Paletocik dla chłopczyka.



N. 37. Strojny kaftaniczek do negliżowego ubrania. Zobaczyć przód na ryc. 6, model kroju na ryc. 26.

N. 38. Zwierciadło toaletowe.